

TOMASZ KOŁODZIEJCZAK

Smoczy biznes

Darlan powoli jechał na swoim biegaczu, skutecznie uśpiony monotonnym kołysaniem wierzchowca, szumem otaczającego lasu i łagodnym powiewem wiosennego wiatru. Rycerz zamknął oczy i zapadł w lekką drzemkę, w ten przyjemny stan półjawy, gdy człowiek może śnić, a jednocześnie nie traci w pełni kontaktu z rzeczywistością. Szeroka, piaszczysta droga jasno wyznaczała kierunek wędrowki, więc Darlan mógł w pełni zaufać instynktowi biegacza. Nie przeszkadzało mu też, że zielonowłosy wierzchowiec czasem przystawał na poboczu i podskubywał kępki młodej trawy. Nigdzie im się nie śpieszyło.

Po prawdzie to Darlan tęsknił już za jakimiś nowymi ekscytującymi przygodami. Zimę spędził w portowym mieście Oczka i choć widział tam mnóstwo niezwykłych budowli, okrętów i marynarzy z dalekich krain, a nawet wziął udział w kilku pomniejszych awanturach, to jednak brakowało mu solidnej, dobrze zbudowanej przygody. Takiej z zaskakującym początkiem, pełnym niebezpieczeństw rozwinięciem i wymagającym wysiłku, lecz szczęśliwym zakończeniem.

Był już wprawdzie w drodze dobry tydzień, ale nie natknął się choćby na jej ślad. Tak jakby wszystkie przygody pochowały się w najciemniejsze zakamarki na wieść o tym, że zbliża się on, Darlan, rycerz co prawda błędny, ale w fechtunku obłądny, a ortografii bezbłądny.

Tak jak rolnik i kret nie mogą żyć bez ziemi, jak dzbanowi i zającowi potrzebne jest ucho, a rekinom i sztucznym szczękom zęby, tak wędrownemu rycerzowi niezbędne są przygody. Bez nich marnieje, usycha, a czasem wręcz się żeni.

Tego pięknego, wiosennego dnia pogrążony w drzemce Darlan nie od razu zauważył nadciągającą przygodę. Tym bardziej że objawiła się ona niezbyt intrygująco i okazała – pod postacią chałupy i króla.

Stary dom stał obok piaszczystej drogi, lekko cofnięty między drzewa, obrośnięty zielskiem, krzywy i garbaty. Moglibyśmy prezentować go jeszcze dokładniej, ale wiemy, że takie szczegółowe opisy nużą wielu czytelników, więc pójdziemy na skróty. Powiemy tylko, że wyglądał bardzo chałupowato, a resztę wyobraźcie sobie sami. O królu będzie za chwilę.

Kiedy biegacz dostrzegł budynek, zwolnił kroku i zarzął cicho, wrywając Darlana ze snu.

– O, chałupa! O, król! – trafnie rozpoznał rycerz, kiedy na dobre otworzył oczy.

Nie wiedział, że wypowiadając te słowa, rozpoczął nową, niezwykłą przygodę.

Tym czytelnikom, którzy nie lubią długich opisów, powiemy tylko, że będzie to przygoda bardzo przygodowata! Koniec. Pa, pa. Dziękujemy za uwagę. Idźcie oglądać telewizję.

Ale może chcecie wiedzieć, co król robił obok chałupy i dlaczego miał zły humor? Jak dobry rozbójnik zszedł na złą drogę? Kto pod kim dołki kopie? Co jest lepsze od dziewicy? Jeśli tak, to ta opowieść jest właśnie dla Was. Zapraszamy.

Przed chałupą, na przewróconym pieńku, siedział król. Wyglądał marnie. Był ubrany w wypłowiałe spodnie i kubrak, które osoba o sokolim wzroku mogłaby określić czerwonymi, a ludzie o mniej wyrobionym spojrzeniu – burymi. Okrywał się szarym płaszczem, kiedyś pewnie purpurowym, obecnie wielokrotnie cerowanym i pozaszycanym łatami. Na nogach miał kamasze, które w czasach swojej świetności zapewne lśniły jak czarny kryształ. Teraz jednak były poobcierane, a lewy dodatkowo wzmocniony kawałkiem rzemienia, żeby trzymał się na nodze. Król miał długą brodę i gęstą siwą czuprynę, przyciętą trochę krzywo, przez co nadawała jego twarzy bardzo zawadiacki charakter. Na głowie nosił złotą, ozdobioną cudnymi kamieniami koronę.

Jak łatwo się domyślić, właśnie po tej koronie Darlan poznał, że ma przed sobą króla, a nie zwykłego znużonego wędrowca. Tkwiła ona na głowie mężczyzny w sposób szczególny, wiarygodny i nie wzbudzający wątpliwości. To nie był uzurpator, który ukradł diadem prawdziwemu monarsze. Ani zbieracz złomu, który natrafił w śmietniku na wyrzuconą – ot tak, przypadkiem – z pałacu koronę. Ani handlarz podróbkami, co ma takich koron ze trzysta i usiłuje je sprzedać kolekcjonerom sztuki albo uzurpatorom właśnie. O nie, siedzący mężczyzna wyglądał jak władca, mimo że był ubrany co najmniej skromnie.

Wszak nie szaty zdobią króla czy cesarza (choćby to były i nowe szaty), tylko przyrodzona godność i ładna królowa.

Król przeniósł wzrok z czubków swoich butów na Darlana, ale widok rycerza najwyraźniej nie poprawił mu humoru, bo minę nadal miał kwaśną. Nie pomogło i to, że nasz bohater zeskoczył z biegacza, skłonił się dwornie i przedstawił.

– Witaj, najjaśniejszy panie. Jestem rycerz Darlan.

Król nie odpowiedział od razu. Przyglądał się przybyszowi w milczeniu, bez cienia uśmiechu czy zainteresowania.

– Hm, widzę, żeś rycerz, rycerzu. No i co z tego? – spytał w końcu. Mówił powoli, niskim, dźwięcznym głosem, w którym było jednak słycać zmęczenie i... smutek.

– Eee... To znaczy... – Nieco speszony Darlan zawahał się. – To znaczy, że wędruję po świecie w poszukiwaniu sławy i przygód. I jak na razie, przygód to nawet kilka znalazłem, tylko z tą sławą gorzej.

– I nie znajdziesz jej w moim królestwie – powiedział król ponuro, na powrót kierując wzrok na czubki swoich butów. – Wracaj, skąd przyszedłeś, a unikniesz kłopotów.

Bywają lepsze sposoby na odprawienie błędnego rycerza niżli stwierdzenie: „Idź stąd, a unikniesz kłopotów”. Chcesz się takiego pozbyć? Powiedz raczej: „Ale tu nudno”. Albo: „Kiedy to widzieliśmy u nas ostatniego bazyliuszka? Chyba uciekł w popłochu ze trzydzieści lat temu”. Ewentualnie: „Chcesz poznać moją kochaną córkę jedynaczkę? Wiesz, to ona ostatnia widziała tego bazyliuszka”. Ale tylko użyj określeń takich, jak: „Kłopoty, problem, ratunku! Wywiad dla prasy. Mamy ładne dworki”, a nie przegonisz błędnego rycerza przez najbliższy kwartał!

Darlan zareagował na słowa króla w sposób właściwy dla swej profesji. Poprawił pas z mieczem, podkręcił wąsa i przyjął godną postawę.

– Czy mogę ci jakoś pomóc, najjaśniejszy panie? Ja i mój biegacz uczynimy to z ochotą.

Gdyby Darlan spojrział w oczy swego wierzchowca, wyczytałby w nich „mów za siebie!”. Nie oszukujmy się, większość biegaczy jest znacznie mądrzejsza od swoich właścicieli.

– Nie sądzę, byś mógł coś dla mnie zrobić, rycerzu. – W głosie króla zabrzmiała pierwsza sympatyczniejsza nuta. – Ale dziękuję za propozycję.

„No dobra – wyczytałby Darlan w oczach biegacza – zgłosiłeś się, nadgorliwco, grzecznie ci podziękowano, wskakuj więc na mnie i zjeżdżamy stąd. Nawet nie będę specjalnie marudził, że cię muszę dźwigać, choć warto wspomnieć, że w podróży mógłbyś się nieco mniej obżerać”.

– Ponawiam ją, najjaśniejszy panie. Jestem rycerzem doświadczonym i szczególnie zainteresowanym sprawami trudnymi. Co cię trapi? Demon porwał ci córkę? Nie ma sprawy, odbiję ją, a pół królestwa i tak mnie nie kusi. A może córeczka zamieniła się w strzygę i trzeba ją odczarować? I z tym dam sobie radę, tylko wskaż mi drogę do jej grobowca. Uciekła z fałszywym księciem? Złapię go i tak wygrzmocę zadek, że odechce mu się podrywać księżniczki. A może córeczka, ma kłopoty z nauką? Tu też gwarantuję pomoc, bo ostrzem wiedzy władam równie dobrze, jak sztychem miecza... Zatem...? – Darlan zawiesił głos i zamarł w oczekiwaniu.

– Nie mam kłopotów z córką. – Król znowu podniósł na niego zmęczony wzrok. – Ja w ogóle nie mam córki. Nie mam też syna, konia, zamku. W zasadzie nie mam już mojego pięknego państwa. Zostały mi tylko wspomnienia i to... – dotknął dłonią korony. – Taki właśnie jest mój problem, rycerzu Darlanie, że jestem królem bez królestwa. Za to prawdopodobnie mam smoka. Nie sądzę, byś mógł mi pomóc, choć doceniam twoje intencje.

– Straciłeś całe państwo? – zapytał z niedowierzaniem Darlan. – Jak do tego doszło? Obcy najazd, wojna domowa, kłótnie rodzinne? A może bunt poddanych?

– Tak jakby wszystko po trochu. Straciłem moje piękne królestwo przez reketing. Reketing i zarządzanie.

Król nazywał się Christian Adolf Karol Harald Tovenssonsvenon VI i rządził niewielkim krajem Fiordlandią. Było to królestwo na tyle małe, że na niektórych mapach nawet zapominano je narysować. Ludziom żyło się tu jednak spokojnie i dostatnio, a to dzięki obfitości ryb, całkiem urodzajnej ziemi i niewielkiej liczbie trolli zatruwających powietrze. Jak twierdził Christian VI, wszystko szło dobrze, albo i jeszcze lepiej, kraj się rozwijał, dzieci przybywało, kultura ludowa kwitła.

Niestety, osiem lat temu zdarzyło się nieszczęście.

Żył w owej krainie baron, Alfred Kant. Mieszkał w małym zameczku stojącym na szczycie skalistej góry i trudnił się łupiestwem. Wraz z synami, Baniotryksem, Cepelionem i Dermatronem, napadali na kupców oraz wymuszali haracze od karczmarzy i sklepikarzy. Ciągnęli też zyski z innych, teoretycznie legalnych

interesów. Na przykład kontrolowali latające cyrki (zarządzane przez ludzi-wężę z klanu Pytona), automaty do gry (kontrolowane przez zatrudniający niepełnosprawnych tak zwany gang jednoręki bandytów) i jaskinie hazardu (prowadzone przez największych fachowców od podziemnego życia, czyli krasnoludy, oczywiście). Ogólnie wykonywali ciężką i niewdzięczną pracę, od której jednak odprowadzali regularne podatki do królewskiego skarbcza. Byli koncesjonowanymi reketierami. Wielu przybyszów (szczególnie kupców z dalekich krain), którzy mieli okazję trafić na rodzinę Kantów, dziwiło, że rabunki są oficjalne i że na dokumencie, każdorazowo okazywanym napadniętym przez napadających, widnieją królewskie pieczęcie i zezwolenia. Trzeba im było tłumaczyć, że to taka odwieczna fiordlandzka specjalność. Wszak co kraj, to obyczaj, czyż nie? W niektórych krainach działają oficjalni piraci na usługach króla, zwani kaprami. W innych państwowi grabieżcy wypracowanego przez obywateli majątku, zwani fiskusami. A w pewnym egzotycznym kraju – choć trudno w to uwierzyć człowiekowi o zdrowych zmysłach – barbarzyńcy sami sobie na władców wybierają grupę złoczyńców, a potem dobrowolnie oddają im sporą część zarobionych przez siebie pieniędzy.

Tak więc zwyczaj utrzymywania królewskich reketierów wcale nie wydaje się taki znowu oryginalny. Tym bardziej że rodzina Kantów, od pokoleń specjalizująca się w zbójckim rzemiośle, profesję swą wykonywała sprawnie, grzecznie i z niezwykłym taktem. Raz na miesiąc łupili kupiecką karawanę, a dwa razy do roku ściągali haracze z karczem i innych centrów rozrywki. I już. Majątku się na tym wielkiego nie dorobili, ot tyle, żeby godnie utrzymać rycerską rodzinę na takim poziomie.

Problemy zaczęły się kilka lata temu. Nikt oprócz Alfreda Kanta i jego synów nie zna szczegółów tej niezwyklej sprawy, ale królewscy szpiedzy zdobyli w swoim czasie nieco informacji, które umożliwiły odtworzenie całej historii.

Właśnie osiem lat temu w górach na północy Fiordlandii pojawił się smok. Jego imię do dziś pozostawało tajemnicą, choć są tacy, którzy twierdzili, że był to gad zza morza, niejaki Kotlet. Król jednak miał tu spore wątpliwości, bo powiedzcie sami: czy potężna bestia może mieć na imię Kotlet? Zapewne więc ktoś przekreślił to imię, które w oryginale musiało brzmieć zdecydowanie bardziej magicznie. Podobno smok był zielony w czerwone kropki, ale mimo niepoważnego wyglądu zachowywał się po smoczemu. Przynajmniej tak się z początku wydawało. Osiadł w jaskini, zażądał złota i dziewic, a także – tu króla aż zatkało z oburzenia na samo wspomnienie, był bowiem królem mało postępowym – młodzieńców.

Przestraszeni mieszkańcy okolicznych osad wygarnęli z chałup i stodoł stosowną liczbę młodych ochotników i podesłali smokowi.

– A on ich nie zezarł! Wyobrażasz sobie?! – Darlan nie był pewien, czy w królewskim głosie wyczuwa radość, czy oburzenie. – Nie spróbował także A. Kanta i jego synków, kiedy ci przybyli pod grotę smoka, by spełnić swoją rycerską powinność.

I tu właśnie w miarę dokładne informacje króla się kończyły. Nie wiadomo, jak potoczyła się ta potyczka. Czy smok się bronił, czy uciekł? Czy spuścił Kantom bęcki, czy sam dostał baty? Czy rzucił na nich klątwę, czy też oni podsunęli mu jakiś niezwykle magiczny artefakt? Tajemnica.

Natomiast nie było sekretem, co stało się potem. Stary Alfred Kant oświadczył, że czajenie się przy gościńcach już go nie interesuje i że teraz zajmie się interesami systemowo i nowoczesnie. „Świat się zmienia”, powiedział. „Kto nie stoi, ten siedzi... nie, zaraz... kto nie siedzi, tego wsadzą... nie, jak to szło? Kto nie siedzi, ten nie siedzi? Aha, już wiem – kto nie biegnie, ten stoi!”

– Też mi nowina! – kontynuował swą opowieść król. – Ale baron Kant właśnie takiego zdania użył, a potem ogłosił wszem wobec, że od walki lepsze są negocjacje nastawione na współpracę, że nawet ze smokiem można się dogadać i że ujrzał przed sobą zupełnie nowe perspektywy oraz tak zwaną ścieżkę kariery. Gdzie on tę ścieżkę zobaczył, pojęcia nie mam, bo tam w górach same urwiska i wertepy. No i pod patronatem smoka Kotleta założył uniwersytet. Imaginuj sobie, Darlanie, rycerz, który sam się podpisać umiał jedynie inicjałami, założył Wyższą Szkołę Reкетинu i Zarządzania! I tak zaczął się koniec mojego królestwa.

– A mówią, że edukacja to dobra rzecz dla kraju. – Darlan pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Ciekawe, kto tak mówi?! – zdenerwował się król. – Daj no mi tu tego mądralę, to mu skórę wygarbuję bardzo edukacyjnie i wychowawczo, tak że mu się raz na zawsze odechce głupoty gadać!

– I co się później stało? – spytał Darlan, którego historia króla mocno zaciekawiła.

– Później było jeszcze gorzej. Szkoła stała się modna, wszyscy młodzieńcy i dziewczęta jęli się do niej zapisywać. A kiedy ich zabrakło, to i starsi poddani, na pewno dawno temu rozdziewiczeni. Żacy opuszczali inne uniwersytety, klerycy – zakony, a czeladnicy – zakłady rzemieślnicze. I dawaj się uczyć, a potem reketować i zarządzać tym, co zreketowali. Trzeba przyznać, że pierwszym studentom nawet się powiodło – było ich jeszcze niewielu, a ludności kraju do obrabowania sporo. Tak więc nieźle się obłowili. Jak się domyślam, część łupów oddawali Kantom i smokowi.

Przykład podzielał. Mieszkańcy Fiordlandii porzucali swe zawody i sprzedawali majątki, by opłacić czesne w Wyższej Szkole Reketingu i Zarządzania. A ci, którzy tego szybko nie zrobili, wkrótce byli reketowani i też musieli się wziąć do rozboju. Kraj zmienił się w pole bitewne – każdy napadał każdego, próbował jakoś zarządzać tym, co ukradł, ale wkrótce sam był ograbiany. Stolarze przestali robić meble, murarze stawiać domy, a rycerze pojedynkować się. Wszyscy uznali, że najlepiej zarobią na reketingu i zarządzaniu. Mają zresztą dobitny tego dowód – majątek Kanta cały czas rośnie, bo on ciągle szkoli nowych studentów.

Gospodarka dołowała, rzemiosła takoz, kraj zaczął popadać w ruinę. Bo jeśli nikt nie doi krów, nie sieje zboża, nie buduje domów, karczem i młynów, to kogo można reketować i czym zarządzać?!

Christian IV miał nadzieję, że ludzie się opamiętają i wrócą do dawnego stylu życia. Ale gdzie tam, coraz bardziej pograżali się w szaleństwie, które w końcu ogarnęło także służbę króla i jego osobistą ochronę.

W kraju zapanował chaos, wreszcie wędrowne bandy zreketowały nawet zamek królewski. No i Christian IV został sam. Wtedy też zdecydował się przenieść do tej tu, przydrożnej chałupy, teraz zapomnianej, a za czasów ojca Christiana pełniącej funkcję domku myśliwskiego i nazywanej żartobliwie Pałacem Zimowym (choć Christian dodał, że ta nazwa budzi w nim jakiś ciągły – zapewne irracjonalny – niepokój, że to chyba nie jest najbezpieczniejsze miejsce dla króla).

– To rzeczywiście osobliwa historia – przyznał Darlan. – Czy masz, panie, jakieś podejrzenia? Co jest przyczyną tego szalonego zamieszania? I jak można by mu zaradzić?

– Nie mam żadnych pewnych informacji. Tylko plotki, z czasów gdy moje służby wywiadowcze jeszcze działały. Sądzę, że całą tę aferę napędza jakiś zły czar rzucony przez tego dziwnego smoka Kotleta. Choć, szczerze powiedziawszy, to ja nawet nie wiem, czy ten smok jeszcze żyje, bo od tamtych czasów nikt go nie widział. Może więc to wszystko jest jedynie sprytnym wymysłem barona A. Kanta, który posiekał smoka, a teraz udaje, że działa w jego imieniu? Nie mam pojęcia. Żeby sprawę wyjaśnić ostatecznie, trzeba by się wkraść do szkoły, zbudowanej nad jaskinią bestii, i tam przeprowadzić śledztwo. Może by się znalazł wtedy jakiś ratunek dla mnie, moich poddanych i naszego nieszczęsnego kraju? Tylko kto się odważy na taki czyn? – zadumał się król.

Nagle spojrzął na Darlana. Na twarzy władcy po raz pierwszy tego dnia pojawił się niepewny uśmiech.

Na nic zdało się biegaczowe posapywanie, kręcenie głową i ciamkanie językiem. Darlan uznał, że oto właśnie natrafił na zadanie warte rycerskiego wysiłku, i wyruszył na zamek A. Kanta. Stwierdził, że musi sprawę na miejscu zwizualizować, zanalizować i zwerbalizować, a najpewniej także komuś wklepać.

Pozostawił więc króla w Pałacu Zimowym, pół dnia jechał traktem, aż dotarł do rozstajów. Tu przecinało się kilka dróg. Na szczęście nie miał problemu, gdzie skręcić, bo przy skrzyżowaniu wbito w ziemię dwa słupy, rozwieszono między nimi kawał płótna, a na płótnie tym wymalowano:

- a) wielką strzałę,
- b) czerwony napis: Wyższa Szkoła Reketingu i Zarządzania,
- c) dwie niewiasty ubrane raczej skąpo,
- d) drugi napis: 23 staje (ale lepiej nie stawać, tylko jechać),
- e) uśmiechniętego młodzieńca patrzącego na niewiasty,
- f) osiem razy słowo PROMOCJA i sześć razy słowo GRATIS.

Darlan zatrzymał biegacza i spokojnie obejrzał reklamę, nie zawieszając na niewiastach wzroku dłużej, niżli wypadało. Wtedy właśnie usłyszał tętent wierzchowców. Ani się obejrzał, jak jedną ze ścieżek wyskoczyło na skrzyżowanie kilku mężczyzn na biegaczach. Byli uzbrojeni i wyglądali dość groźnie. Sądząc po mieczach, herbach na tarczach i rasowych rumakach, musieli być niegdyś świetnymi rycerzami. Ale nie teraz. Ubrania mieli brudne, włosy potargane, a zbroje zmatowiały i gdzieś tam gdzieś porzuciły. Równie źle wyglądały ich wierzchowce – wychudzone, zablocone, o skołtunionej sierści. Z podziwem patrzyły na Darlanowego biegacza – wyczesanego, sytego i najwyraźniej lubiącego swego jeźdźcę.

– Ha! Ha! – pokrzykiwali głośno, otoczywszy Darlana, najwyraźniej dodając sobie odwagi i próbując go przestraszyć.

– Witam panów uprzejmie. Czym mogę służyć? – spytał rycerz grzecznie, lekko pochyliwszy głowę, ale nie spuszczać łobuzów z oczu ani na chwilę. Domyślił się bowiem, że to jedna z band reketujących, a król radził na nie uważać.

– Swoją sakiewką! – Herszt z rozbójników podniósł dłoń, uciszając kompanów.

– A czemuż to miałbym się jej pozbywać? Jestem do niej nader przywiązany – powiedział Darlan, choć po prawdzie to raczej sakiewka była przywiązana do jego paska.

– Bo wkroczyłeś na mój teren, wędrowcze – odrzekł przywódca bandy. – No i dlatego, że nas jest więcej. Jego koledzy zachichotali, a dwóch nawet zarechotało.

– A z kimże mam przyjemność? – Darlan wciąż grzecznie pytał.

– Ha! Nie rozpoznajesz mnie?! Jestem Baniotryks Kant, zwany B. Kantem. Syn wielkiego A. Kanta, brat C. Kanta i D. Kanta, równie niemałych. A ty kto?

– A ja jestem jedynakiem raczej – powiedział Darlan. – I udaję się do Wyższej Szkoły Reketingu i Zarządzania, której, jak rozumiem, panowie jesteście absolwentami.

– Tak jest! – krzyknął Baniotryks. – Jako żywo! A jakże! I dlatego, właśnie, drogi wędrowcze, musimy tobą pozarządzać i cię zreketować. Zostaniesz naszą, że się tak fachowo wyrażę, finansową krową, którą musimy wydoić.

Biegacz Darlana zastrzygł uszami, obrócił łeb, spojrzął na swego pana, a jego mina wyrażała coś, jakby uśmiech.

– Zdrajco – syknął do niego rycerz przez zaciśnięte zęby. – Nawet sobie tego nie wyobrażaj!

– Rozumiesz – kontynuował Baniotryks – każdy produkt, w tym wypadku ty, wędrowcze, ma swój cykl życia, czyli mówiąc wprost: raz na wozie, raz pod wozem. Ty, jako nasz target, czyli cel, aktualnie jesteś pod wozem, choć w zasadzie siedzisz na biegaczu. Jasne?

– A nie mógłbyś mówić prościej, szanowny panie Baniotryksie?

– Nie można. To w reketingu i zarządzaniu jest zakazane. Ale dla ciebie zrobię wyjątek: dawaj sakiewkę, bo w końcu się zezłoszczę i spuszczę ci łomot!

– Rzeczywiście, proste – mruknął Darlan.

Ścisnął biegacza kolanami, wrzasnął tak, że dzielny wierzchowiec skoczył do przodu, rozpychając dwóch jeźdźców. A potem pogalopował gościńcem.

Baniotryks i jego rabusie ruszyli w pościg, ale nie mieli szans. Przez jakiś czas Darlan słyszał jeszcze ich dobiegające z oddali pohukiwania, groźby, prośby, na koniec łoskot, brzęk i kilka wyrazów, bardzo, ale to bardzo nierycerskich. Potem wszystko ucichło, a on jechał bezpiecznie w stronę zamku.

No bo powiedzcie sami, czy któryś z wierzchowców bandy B. Kanta mógłby dopuścić, żeby tak dbający o swego biegacza Darlan wpadł w ręce rozbójników? O nie! Honor biegacza na to nie pozwala. Szczególnie jeśli zostanie wzmocniony suszonymi śliwkami, rozrzuconymi na drodze przez umykającego Darlana. Przy każdej takiej śliwce należy się przecieżyć zatrzymać, pomlaskać i pożuć. A jeśli rycerz na siodle krzyczy, wierzga i grozi? Hm, trzeba zrzucić rycerza, niech nie przeszkadza. Bo stres przy jedzeniu źle wpływa na biegaczowe żołądki.

Siedziba Wyższej Szkoły Reketingu i Zarządzania mieściła się u podnóża góry, w której ponoć znajdowała się niegdyś jaskinia smoka. Mury obronne i domy zbudowano nad wejściem do grotty, blokując je całkowicie, i było to cokolwiek dziwne. Smoki lubią siedzieć na swoim złocie, ale przecież muszą czasem wyłazić na dwór, żeby coś upolować, spalić albo ukraść. No, chyba że cała ta historyjka o smoku była fałszywką rozpowszechnianą przez starego A. Kanta, mającą zabezpieczać szkołę przed atakiem ewentualnych konkurentów czy gwardii królewskiej (kiedy jeszcze istniała). Kto by tam chciał mierzyć się ze smokiem?! Jeśli tak, w grę wchodziły dwie opcje. Smoka nie było nigdy. Smok był, ale go A. Kant wraz z synalkami utłukł i teraz jedynie czerpie z jego sławy.

Półkolisty mur wspierał się krawędziami o skalne ściany, ponad jego krawędź wystawały dachy kilku domów i donżonu. Znajdowały się w nim trzy bramy. Przed położoną najbardziej na prawo, małą i wąską, stała długa kolejka osobników różnego autoramentu. Niektórzy trzymali biegacze za uzdy, inni dźwigali tobołki, wielu było pod bronią. Wrota otwierały się co jakiś czas i grupka przybyszów wchodziła do szkoły. Kolejka jednak nie skracała się specjalnie, co chwila bowiem pojawiały się nowe osoby, które zajmowały miejsce na końcu. Darlan domyślił się, że stoją w niej kandydaci na żaków.

Druga, środkowa brama, była największa – wysoka i okratowana, chroniona basztami. Pilnowało jej kilku strażników i celników, pobierających opłaty od wjeżdżających do środka uczniów i absolwentów szkoły. Ruch odbywał się w obie strony, bo twierdzą opuszczało wielu reketierów ruszających na poszukiwanie zysków i obrotu.

Trzecie, położone po lewej stronie drzwi były małe i wąskie. Wymalowano na nich znaki kółka oraz trójkątka.

Darlan podjechał bliżej murów, ocenił ich wysokość i jakość wykonania, a także przyjrzał się strażnikom. Wszystko wyglądało dość solidnie. Odrzucił więc pierwotny zamysł, przewidujący: nocne czuwanie, maskowanie, wspinaczkę, obezwładnianie, podduszanie, a być może nawet wsadzanie worka na głowę i

cedzenie cichych przekleństw. Uznał, że nie chce mu się realizować planu, co prawda fascynującego, ale też nader męczącego.

Zsiadł z biegacza i wyjął z tobołków najpotrzebniejsze i najcenniejsze rzeczy. Chwilę podrapał wierzchowca za uchem, umówił się na spotkanie „za dwa dni góra” i puścił go luzem.

Sam grzecznie zajął miejsce na końcu kolejki kandydatów do Wyższej Szkoły Reketingu i Zarządzania.

Przed nim stał chudy wysoki chłopak, o potarganej czuprynie i w mocno znoszonym ubraniu. Darlan poznał, że ma przed sobą rybaka – a to po specyficznej sztormiakowej czapce i zapachu. Ogonek posuwał się dość szybko. Żelazna furta w zamkowym murze otwierała się jak gardziel ludojada, w ciemny korytarz wkraczało kilkunastu chętnych, po czym wrota zamykały się ze zgrzytem i traskiem.

Oj, przydałby się ślusarz! – pomyślał Darlan, ale zaraz się zreflektował, że pewnie większość ślusarzy grasuje teraz po gościńcach i jeśli ma do czynienia ze swą dawną profesją, to co najwyżej oliwi zbroje kamratów.

Trzeba przyznać, że niektórzy kandydaci na reketierów trochę się denerwowali, by nie powiedzieć – panikowali. Po kolejce niosły się plotki. A to taka, że selekcji na studia dokonuje zawsze osobnik zwany „łowcą głów”, specjalista od tak zwanego „haru”. Co dokładnie oznaczają te określenia, nikt nie wiedział. Gadano więc, że groźny ów człowiek haruje od rana do nocy, ścinając ludzkie głowy. Inni utrzymywali, że on po prostu telepatycznie (albo palcami) zmniejsza czaszki i mózgi studentów, żeby to oni harowali bez wytchnienia. Byli i tacy, co twierdzili, że „łowca głów” robi najpierw selekcję, na głowy dobre i głowy złe, zadając wiele podstępnych pytań i każąc rozwiązywać dziwne układanki. No i że potem składa dziwne propozycje i że to jest potworne. Albo że nie składa i że to jest jeszcze gorsze.

Byli i tacy, co mówili, że to zwykłe przejęzyczenie. I że „łowca głów” nie jest specjalistą od żadnego „haru”, tylko od „chóru”, i że jak już kogoś przyjmie do zespołu, to musi on z tym zespołem śpiewać – równo, posłusznie i bez zadawania zbędnych pytań. Ta wersja wydarzeń najbardziej zaniepokoiła pewnego głuchego zduna. Chciał się nawet wycofać z kolejki, ale koledzy przekonali go, żeby nie rezygnował.

– Każdy może się poznać na reketingu i zarządzaniu – mówili jedni.

– Nie musisz znać matematyki, umieć poprawnie pisać ani składnie posługiwać się naszą piękną fiordlandzką mową. Ba, nawet możesz być głuchy. Każdy ma szansę zostać młodym, zdolnym, atrakcyjnym! – dodawali inni.

Głuchy zdun nic oczywiście z tego nie usłyszał, ale został, a wraz z nim ośmiu cieśli, trzech braci murarzy wyglądających na bliźniaków, dwóch rolników, jeden szlachcic mocno podupały, kilku mieszczan, hrabia bardzo niewyraźnie wymawiający „r” (co dało kolejkowiczom pretekst do kilku dowcipów, nie tylko głupich, ale i starych jak Śpiąca Królewna), no i cała masa innego luda, a nawet nieluda, bo Darlan przyuważył dwa krasnoludy, kurzymisia i rodzinę gadających kuców szetlandzkich.

Tak to sobie płynął czas w kolejce: na niewybrednych dowcipach, ponurych plotkach i przyjacielskich pogawędkach. Aż drzwi skrzypnęły ponownie, otworzyła się ciemna gardziel korytarza i Darlan, wraz gromadką innych kandydatów, wkroczył do twierdzy.

Korytarzyk zakręcił raz i drugi, tak że na moment znaleźli się w niemal zupełnej ciemności. Zaraz jednak znów zabłyśło światło słoneczne i wyszli na spory dziedziniec.

– Dziesięć talarów! – usłyszał niespodziewanie nad głową mocny głos.

Odwrócił się i zobaczył trzech osobników postury znacznej, razem wyglądających jak trzydrzwiowa szafa. Gadał wyłącznie środkowy, prawy tylko groźnie łypał, a lewy pozgrzytywał zębami dla podkreślenia wagi słów centralnego. Siłę perswazji wzmacniały długie i grube dębowe pały, które ściskali w dłoniach. I gęby, które w przeszłości musiały wielokrotnie testować zasady dynamiki słynnego naturalisty Olddźwięka, gwałtownie uderzając w duże twarde przedmioty. Konkretnie – zasadę trzecią: o siłach, akcji i reakcji, oraz czwartą: o wpływie maczugi na kształt czaszki maczugowanego.

– Za co? – spytał Darlan, była to bowiem dla niego kwota całkiem pokaźna, a poza tym chciał zyskać na czasie, żeby się zorientować, o co chodzi i któremu z nich najpierw przygrzmocić w nos, jakby co.

– Za pęd do wiedzy, kochaniutki. Czesne trzeba zapłacić. – Środkowy uśmiechnął się słodko jak niemowlak (miał o trzy zęby więcej niż przeciętny noworodek).

– Aha, a niżek nie ma? – drażył Darlan.

– Znaczą rabatów i promocji? – podpytał środkowy. – Dla wielodzietnych rodzin? W ramach akcji afirmatywnej dla elfów? Dla niepełnosprawnych centaurów? Dla weteranów?

– No właśnie, ja...

– Nie ma żadnych rabatów dla nikogo!

– A promocje?

– Tylko trzech pierwszych klientów po każdej równonocy letniej. Rany, co się tu wtedy dzieje! Tłumy, powiadam, tłumy – rozentuzjzmował się środkowy. Lewy i prawy pokiwali głowami. – Depczą się, gniołą,

ścigają, wrywają sobie włosy, podcinają, gubią sakiewki. Jest widowisko, powiadam, okazałe. No dobra, dawaj te dziesięć talarów, bo mi wstrzymujesz kolejkę.

Darlan z wielkim żalem wysupłał z sakiewki złote monety. Środkowy każdą solidnie sprawdził zębami. Robił to profesjonalnie i z pełnym zaangażowaniem, mocno kłapiąc szczęką, co poglądowo wyjaśniło Darlanowi, czemu użębienie strażnika wykazywało tak poważne braki.

Lewy dał Darlanowi małą karteczkę, prawy zardzewiałą szpilkę. Środkowy kazał napisać na tym świstku imię („Mogą być tylko krzyżyki, jak nie znasz liter. Sporo tu takich łazi, krzyżaków skubanych, chłe, chłe, chłe”). Potem rycerz musiał przypiąć sobie świstek na piersi i dołączyć do grupy innych kandydatów na studentów. Teraz mógł się przez chwilę spokojnie przyjrzeć dziedzicowi szkoły.

Kłębili się na nim tłum, składający się głównie z ludzi, ale także innych istot. Załatwiano tu wiele spraw: handlowano, szykowano biegacze do drogi, kłócono się, wygrzewano na słońcu. Reketierzy poruszali się bardzo pośpiesznie, krążyli po wybrukowanym kamieniem placu, machali rękami, pokrzykiwali na siebie. Czasem zderzali się ze sobą i wtedy wybuchały prawdziwe kłótnie. Inni dla odmiany snuli się wyraźnie bez celu, ze spuszczonej głowami, coś tam sobie mamrocząc pod nosem. Byli i tacy, którzy po prostu siedzieli na ziemi, miarowo kiwając głowami i zawodzącymi głosami wyśpiewując mantry. Z tego zawodzenia, krzyków i szeptów Darlan był w stanie wyłuskać tylko pojedyncze, najczęściej powtarzane słowa.

– Bu-bu-bu-buuudżet! – darł się jeden.
– Lancz! Lancz! Lancz! – wrzeszczał drugi, najwyraźniej bardzo głodny.
– Praca uświęca środki! – deklamował kolejny. – Jak sobie pościelisz, to cię zwolnią. Poty nosisz ucho, póki cię nie wyleją na pysk.

Jeszcze inny podśpiewywał:

*Zawsze sprawny jest i zdrowy przedstawiciel nasz handlowy, hej!
Czy sobota, czy niedziela, on znów rączo popierdziela, hej!
Wam wciska kichę, wam wciska chlam, żeby obrót zrobić nam, hej!
A gdy pęknie mu pikawka, to wyrośnie na nim trawka, hej!*

Coś – poza oczywistym faktem utraty kilku klepek – łączyło tych wszystkich ludzi. Początkowo Darlan nie za bardzo potrafił to zidentyfikować. Nagle jeden z osobników stanął naprzeciw rycerza i gromkim głosem wyrecytował taką oto sentencję:

– Gorszy od smrodu sera jest zapach menedżera!

Po czym demonstracyjnie złapał się za nos, zrobił w tył zwrot i odmaszerował. Ale zanim się odwrócił, Darlan wreszcie odkrył, co wspólnego mają wszyscy ludzie na placu, a przynajmniej ci, którzy właśnie zakończyli wykłady.

Ich oczy pokrywała delikatna zielona mgiełka, czająca się nawet w czerni źrenic. Tego przebarwienia nie dostrzegł Darlan u swoich nowo przybyłych towarzyszy.

Czary, pomyślał. W czasie wykładów studenci są opętywani. Większość po prostu rusza na gościńce reketować, ale co słabsze umysły nie wytrzymują tego wyścigu i popadają w jakąś formę paranoi. Tych A. Kant trzyma tutaj, w szkole. Może, żeby się uspokoił, a może, żeby nie robić uczelni złej renomy.

Trzydrzwiowy strażnik zebrał już chesne od wszystkich nowych, kazał się im ustawić parami i poprowadził ich w stronę niskiego budynku.

– Szczęściarze, farcjarze, fuksiarze – powtarzał przy tym środkowy, a boczni posapywali ze wzruszenia. – Ale wam się powodzi, no, no. Za chwilę wkroczycie w przecudowny świat reketingu. Oraz zarządzania, rzecz jasna.

W sali na studentów czekało trzech facetów. Każdy miał przypięty do piersi kartonik z wypisaną sprawowaną funkcją, ale bez imienia. Menedżer Światła ścisnął pudełko zapalek. Senior Egzekutor Operacji, starszy jegomość z różgą w ręku, wyglądał dość groźnie. Przywitał wszystkich Promo Vice Menago – osobnik o gębie równie gładkiej jak jego wypomadowana fryzura, w dziwnym czarnym stroju składającym się ze spodni, przykrótkiego fraka oraz kolorowego kawałka materiału przywiązanego do szyi i zwisającego mniej więcej do pasa.

Studenci zaczęli zajmować krzesła, a Menedżer Światła zajął się gaszeniem świec w kandelabrach. Darlanowi aż zakręciło się w nosie od zapachu dymu, jeden z uczniów zaś nie wytrzymał i głośno kichnął. Natychmiast za jego plecami pojawił się Senior Egzekutor Operacji i pacnął go różgą po plecach.

Rycerz usiadł z brzegu, na krześle stojącym najbliżej drzwi. Nie zamierzał spędzić tu dużo czasu.

W pomieszczeniu zapanował półmrok, jedynym źródłem światła była lampa ustawiona w tyle sali i rzucająca promień na ścianę przed oczami słuchaczy. W ten snop światła wkroczył Promo Vice Menago.

Jego oczy lśniły zielono.

– Niech będzie pochwalony reketing i zarządzanie – zaczął. – Oto słowo Kotleta: „Określcie potrzeby, kształtujcie produkt, budujcie popyt...”.

W tym momencie kalista plama światła na ścianie się rozmasała, a po chwili pojawił się w niej niewyraźny napis:

4P REKETINGU:

PUŁAPKA * PIĄCHA * PAŁKA * PRZEPRASZAM

Litery drżały, rozlewały się, przesuwwały. Darlan zerknął do tyłu i zobaczył Menedżera Światła trzymającego przed lampą kawałek przezroczystego pergaminu, na którym je wypisano. Na ścianę padał ich powiększony cień.

Promo Vice Menago mówił dalej, głosem monotonnym i sennym, a jednak zdania, które wygłaszał, wnikały do mózgu, utrudniały racjonalne myślenie. Zaczął od objaśnienia słynnego aksjomatu 4P reketingu:

– Zapamiętajcie to sobie: PUŁAPKA * PIĄCHA * PAŁKA * PRZEPRASZAM. Oto podstawa! Dobra zasadzka, cios w nos, efektowna demonstracja narzędzi do spuszczenia łomotu, a na koniec odrobina grzeczności sprawią, że i wy osiągniecie swoje cele osobiste, i klient będzie zadowolony (w stopniu, w jakim może być zadowolony w takiej sytuacji). Niektórzy próbują zastąpić ten model systemem 4 CI: CIEMNOŚĆ * CIOS * CIUPAGA * CIAO, ale przy uważnej analizie zobaczymy, że tak naprawdę chodzi dokładnie o to samo.

Czyli jak najskuteczniej złupić ofiarę (dla niepoznaki nazywaną „klientem”) – pomyślał Darlan.

– A teraz powtarzajcie za mną – Promo Vice Menago odrobinę podniósł ton głosu – święte reguły reketingu:

KUPIĆ NIE KUPIĆ, POTARGOWAĆ WARTO!

MY PANEM KLIENTA!

CZASOWNIK JEST WSZYSTKIM!

BEZ PRACY SĄ KOŁACZE!

DRZWI TO DRZWI, A BIZNES TO BIZNES!

Po wypowiedzeniu każdej sentencji czekał chwilę, aż studenci powtórzą jego zdanie. Mówili je głośno i miarowo, dziwnie zsynchronizowani, jak na grupę ludzi, która robiła to wspólnie pierwszy raz, w ich głosach było słycać wiarę i zaangażowanie. Darlan zerknął na swojego sąsiada po lewej. W jego oczach dostrzegł już zielone iskierki magii. Jednocześnie zauważył, że nawet pracownicy szkoły ulegli czarowi reketingowych mantr i powtarzali je głośno, stojąc na baczność, z oczami półprzymkniętymi niczym w transie. Kiedy doszli do zdań typu „Makroekonomiczna funkcja produkcji opisuje zależność wielkości wytworzonego produktu od ilości zużytych czynników produkcji”, Darlan uznał, że zdecydowanie powinien stąd zmykać.

Rozwahał dwa sposoby opuszczenia sali. Pierwszy polegał na wykorzystaniu półmroku – bezszelestnym wstaniu z krzesła, przesunięciu się ku drzwiom, następnie ich cichemu otworzeniu i niezauważonemu wyjściu na zewnątrz. Tak, to mogło się udać, zważywszy na pogrążenie pozostałych osób w reketingowym transie.

Ale Darlan wolał nie ryzykować i użył drugiej metody, która dawała mu większe szanse na sukces. Z całej siły popchnął swojego sąsiada, potem to samo zrobił ze studentem przed sobą, za sobą i na ukos. Nie zareagowali od razu, bo nie mogli, pogrążeni w otepiałym rytmie wykładu. Przewracali się, wpadali na swoich kolegów, pod kimś złożyło się krzesło. Wreszcie zaczęli wracać do rzeczywistości. Ktoś się poderwał i niechcący stuknął łokciem sąsiada. Ów oddał. Ktoś kogoś popchnął, sam dostał w nos, wrzasnął. Potem wszystko poszło już bardzo żwawo i rozpoczęła się naprawdę piękna bijatyka.

Wreszcie ocknęli się również pracownicy szkoły. Menedżer Światła rozpaczliwie chronił przed tumultem lampę, pokrzykując cienkim głosikiem. Senior Egzekutor lał różgą na prawo i lewo, aż się zasapał. Tylko Promo Vice Menago cofnął się w kąt pomieszczenia, wyraźnie się obawiając, że w zamieszaniu może ponieść szkodę jego wyprasowana gęba, fryzura albo strój. I byłoby mu się pewnie udało wyjść cało z opresji, gdyby nie został trafiony latającym krzesłem. Ale tego Darlan już nie zobaczył, bo właśnie zamykał za sobą drzwi sali wykładowej.

Spytacie, czy gryzło go sumienie za sprowokowanie bijatyki? A i owszem, spodziewał się etycznego kaca, bo wiedział, że wielu porządnych ludzi nabawi się dziś przez niego guzów i siniaków. Ale tak jak bolący baniak i ściśnięty kałdun są czasem ceną za nocne pohulanki, tak nieodłącznym kosztem niektórych dobrych uczynków jest mała bójka. Kto tego nie rozumie, ten na pewno się nie nadaje ani na błędnego rycerza, ani na policjanta, ani na harcerza.

Darlan przemykał więc korytarzami szkoły, starając się uniknąć wzroku strażników i studentów. Musiał

znaleźć źródło magii, centrum emisji owej zielonej mocy ogarniającej wszystkich Fiordlandczyków. Nie wiedział, ile ma czasu na spokojne działania, tamci mogli już opanować sytuację i doliczyć się, że brakuje im jednego studenta.

Przebieg salę, w której kilkunastu żaków ćwiczyło manewr relanczu, jedząc drugi obiad. Przeszedł obok pomieszczeń oznaczonych kolejno: monopol, dupol, oligloopol. Zza pierwszych drzwi dobiegały pijackie śpiewy, zza drugich odgłosy gry w salonowca, spod trzecich wiało chłodem. W bocznym korytarzu natknął się na dwa wielkie, zakurzone kosze, prawdopodobnie jakieś dawne pomoce naukowe. Oba były oznaczone mosiężnymi, mocno pociemniałymi od tłuszczu i kurzu tabliczkami informacyjnymi. Na pierwszej wygrawerowano: KOSZYK DÓBR, na drugiej: KOSZYK ZŁÓW. Darlan zajrzał do koszyków, ale były puste.

Minęła go grupka studentów, głośno dyskutująca, czy lepiej podarzyć popyt, czy popytać podaż.

– Nie mówi się „podarzyć”, tylko „podarować” – mruknął.

Nie mając pewności, gdzie iść, Darlan zdał się na nos. Ten solidny organ, wierny towarzysz wielu podróży i awantur, z zasady go nie zawodził, no, chyba że w trakcie przygody był zakatarzony. Teraz nos dawał znać, że to właściwa droga. Stopniowo rycerz zagłębiał się w coraz rzadziej odwiedzane korytarze, bez okien, ledwie oświetlone z rzadka rozmieszczonymi pochodniami. Nieruchome powietrze śmierdziało stęchlizną. Na podłodze leżała gruba warstwa kurzu, aczkolwiek środek korytarza był wyczyszczony przez podeszwy chodzących tędy ludzi. A więc zapuszczano się tu regularnie, nie był to duży ruch. Jakby ktoś raz na kilka dni przechodził tędy, by coś sprawdzić czy załatwić. Rycerz miał też wrażenie, że cały czas posuwa się w dół. W końcu zorientował się, że ściany korytarza nie są już zbudowane z cegły czy kamienia. Wykuto je w skale.

Ha, takich wskazówek nos Darlana nie mógł zlekceważyć. Było jasne, że ta droga prowadzi do dawnej jaskini smoka. I do źródła tajemnicy. To przecucie szybko zostało potwierdzone. Oto z naprzeciwka szło dwóch ludzi. Darlan przywarł do ściany, mając nadzieję, że nie zobaczą go w ciemnościach. W ich sylwetkach i tonie głosu rozpoznał znajome cechy i szybko zrozumiał, że ma przed sobą dwóch pozostałych braci Kantów. Klócili się.

– Mówię ci, Dermatronie, że on ma za duże potrzeby i wymagania.

– Tak, tak, Cepelionie, jego popyt może nawet przewyższyć naszą podaż.

– Może by go tak posegmentować? Nooo... pokroić na kawałki.

– Cepelionie, chcesz go zreketować? Nie damy rady.

– Damy, jak go dobrze spozycjonujemy. Nazwijmy to... na przykład... reketing-smox.

– Dlaczego nie reketing-smok?

– Tak mi brzmi jakoś lepiej, bardziej markowo...

Błędnemu rycerzowi niełatwo jest się upodobnić do skalnej ściany, szczególnie rycerzowi o – jak już powiedzieliśmy wcześniej – dużym nosie. Na szczęście, zagadani i speleologicznie niedouczeni bracia Kantowie nie zwrócili uwagi na fakt, że z jaskiniowych ścian zwykle nie wyrastają ani stalaktyty, ani stalagmity i minęli przyciśniętego do skały Darlana, wciąż rozmawiając.

Rycerz odczekał, aż ich głosy ucichną, po czym ruszył w dalszą drogę. Za następnym zakrętem korytarza usłyszał dźwięk, który pierwotnie wziął za szum podziemnego strumienia. Dopiero po chwili zorientował się, że to chrapanie. I że chrapiący musi posiadać bardzo duże nozdrza. Jak, na przykład, smok.

Korytarz rozszerzył się gwałtownie, a w oczy Darlana uderzył złoty blask. Pod stopami brzęknęły monety. Rycerz przycisnął się do ściany i ostrożnie wsunął do grotu. Starał się stąpać na palcach i za bardzo nie pobrzękiwać zbroją, bo szczerze mówiąc, nieco się scykał. Wprawdzie błędni rycerze rzadko kiedy się boją (gdyby nie byli odważni, to wykonywaliby inny zawód, na przykład sprzedawali warzywa), a jeszcze rzadziej dają po sobie poznać ewentualny napływ paniki, jednakże tym razem możemy absolutnie usprawiedliwić Darlana. Każdy by się przeraził, widząc to, co ujrzał nasz bohater.

No bo wyobraźcie sobie górę złota – monet, garnków, koron upadłych królestw, pasów cnoty upadłych dworów, bransoletek, naszyjników, nocników, rzeźb, lichtarzy i innych świecidełek (w tym pokaźnej liczby złotych zębów).

U jej podnóża leżało całkiem sporo zupełnie niezłotych kości. Kości jak najbardziej kościanych. Kości z kości, jak krew z krwi, a marchew z marchwi. Tu żeberka, tam czaszka, ówdzie udowy gnat. Z góry, z jakichś szczelin w ścianach do grotu wpadało światło. Odbijało się od zgromadzonych kosztowności, tańczyło na gładkiej powierzchni tarcz, przeskakiwało po monetach, wyblęszczało haftowane złotem suknie. Oświetlało właściciela wszystkich skarbów. Smoka o bardzo niesmoczym imieniu Kotlet.

Smok zajmował czubek góry. Był wielki jak stodoła chciwego sołtysa, zielony w czerwone kropki, bardzo łuskowaty, bezwzględnie opazurzony i uzębiony lepiej niż stado wilkołaków. Leżał. Zwinął skrzydła, podparł łeb przednimi łapami, nozdrzami raz po raz wydmuchując nieco dymu, zamknął oczy. Uszy miał

szpiczaste, nos mięsisty, spomiędzy warg spływała gęsta ślina. Pochrapywał przez sen, a każde charknięcie dudniło o kamienne ściany jaskini wielokrotnie odbitym echem. Tylne łapy częściowo zagrzebał w złotej górze, chyba więc dawno się z tego miejsca nie ruszał, albo to właśnie był jego sposób na wygrzanie stóp.

Tuż przed jego pyskiem w powietrzu obracała się księga. Dość gruba, oprawiona w skórę, ozdobiona złotymi malunkami. Księga świeciła zielonym blaskiem, tym samym, który Darlan dostrzegł w oczach wielu uczniów Wyższej Szkoły Reketingu i Zarządzania. Promieniowanie to spływało z niej niczym mgła, snuło się po złotej górze, dotykało i oplatało cielsko Kotleta.

No to cię mam, pomyślał Darlan. Oto magiczna księga, która opanowała umysły tych wszystkich ludzi, a kto wie, może i samego smoka.

Mógł zrobić tylko jedno. Powoli, ostrożnie, niemal na paluszkach zaczął pięć się po złotym kopcu. Wyciągnął miecz z pochwy i podpierając się nim jak laską, brnął w górę, ku księdze. Ciężko było. Tu osypał się strumień gotówki, tam zabrzczał trącony dzbanek lub stara korona poturlała się w dół stosu. Ale smok wciąż spał, nie zmieniając rytmu oddechu. I naszemu rycerzowi może by się nawet udało, gdyby nie pech. Miecz trafił na pustą przestrzeń, Darlan stracił równowagę i rymsnął na twarz, jakby się poślizgnął na skórcie banana, pozłacanej oczywiście. Poczł drżenie podłoża, usłyszał ciche stęknienie, a po plecach przebiegł mu gorący oddech.

Rycerz wsparł się na rękach, spróbował wstać, lecz noga obsunęła się na śliskim zboczu i ponownie pacnął na twarz, bezradnie szukając oparcia. Kiedy znów się podniósł, zobaczył tuż przed sobą wielki smoczy pysk.

O rany, rany, rany! – pomyślał Darlan raczej mało konstruktywnie. Spróbował też błyskawicznie przypomnieć sobie całe swoje życie, a w szczególności wszystkie miłe chwile i jeszcze miłsze dworki.

– Kszsz, szszszsz, krzykszyyyyy – sapnął smok w zadziwiający, na pewno nieznanym w tych stronach sposób zestawiając głoski. – Jesteś moim branczem?

– Kim, przepraszam? – spytał zdumiony rycerz.

– Śniadaniobiadem albo obiadokolacją... Nie pamiętam dokładnie.

– Nie sądzę. – Darlan zdołał już wstać, otrząpać się ze złotego pyłu i nawet wyszarpnąć miecz.

– A może podwieczorkiem? – spytał z nadzieją smok. – Uwielbiam podwieczorki!

– Nie sądzę – powtórzył spokojnie rycerz, choć czuł, że jego nogi mają zdecydowaną ochotę zrobić w tył zwrot i biec bardzo, bardzo szybko.

– No tak, wobec tego będę cię musiał zjeść bez żadnego powodu, jako zwykłą przekąskę. Nie szkoda ci?

– Czego?

– Nooo, jak to czego? Że zakończysz życie jak chips albo jak batonik.

– Lubię batoniki w polewie czekoladowej – przyznał Darlan.

– A ja w polewie zbrojowej, he, he – zarechotał smok, najwyraźniej zadowolony ze swojego dowcipu. – No chodź tu bliżej, capnę cię na raz, obiecuję, że nie będzie bolało.

– Dobra, dobra, po co ten pośpiech? Nie możesz konsumować tak łąpczywie. Zdążysz. Może najpierw porozmawiamy?

– Gra wstępna, tak? – Smok nieco cofnął łeb, ale wciąż patrzył na Darlana uważnie swoimi różowymi oczami. W ich środku lśniły ledwie widoczne czarne kreseczki źrenic. – Może być. A po wszystkim to nawet chyba sobie zapalę, he, he. – Smok znów się uśmieł, zionąc z pyska pomarańczowym ognikiem.

Darlan poczuł pieczenie na twarzy, mimo że stał kilka kroków od granicy ognia.

– No to cudownie – powiedział głosem tak słodkim, jak kawałek tureckiego ciasta popijany mrożoną białą czekoladą z bitą śmietaną. – Powiedz mi, panie smoku, co ty tu właściwie robisz?

– Jak to co? – Smok nie wahał się ani chwili. – Leżę na kupie złota. Zawodowo i profesjonalnie. Jestem w tym naprawdę dobry. Mara medale.

– Za leżenie?

– Nie, za łyżwiarstwo figurowe. Dwa złote i jeden srebrny, o tam są, koło twojej nogi.

– Ale skąd ty to całe złoto wzięłeś? Od lat nikt cię nie widział na niebie. Nie rabowałeś, nie podpalałeś, nie ganiałeś niewiast za stóg. Wylegujesz się tu tylko, pojedasz prosiaki i słabszych studentów swojej szkoły, a robotę za ciebie musi odwalać ktoś inny.

– I o to chodzi! O to właśnie chodzi! – wykrzyknął radośnie smok.

Z jego nozdrzy buchnął kłęb różowego dymu, pewnie na znak, że poruszyli ulubione tematy Kotleta.

– O co?

– Żeby leżeć do góry brzuchem, ewentualnie do dołu... Taaak, to jest rzecz gustu właściwie, do góry czy do dołu... No taaak... można też leżeć brzuchem na boku... oraz tak trochę na boku, a trochę do góry, tylko wtedy mnie zawsze ogon śwędzi, nie wiem właściwie dlaczego...

– Reasumując? – ponaglił go Darlan.

– Reasumując, jesteś luźny. Oni reketują, ty nimi zarządzasz i złoto płynie strumieniami. Co jest celem życia smoka? Żarcie i złoto, oczywiście. Nie wierz w te bajki o naszej wiekowej mądrości. Jesteśmy jak mężczyźni – chcemy jedzenia i gołych kobiet (które zresztą też od razu zjadamy). Dawniej i ja latałem po niebie wolny jako ten niebieski ptak... czyli zielony smok. Straszylem ludzi, porywałem krowy, paliłem owce i dziewczęta. Przyjemne to było życie, ale i niebezpieczne. A to jakiś dumny rycerz na mnie najeżdżał i kłuł kopią po zadku (bo od przodu żaden nie odważył się zaatakować). A to zmyślny sołtys napychał siarką i smołą brzuch wioskowego głupka i podtykał mi go na spróbowanie. A to znowu jakiś pisarzyna udawał naukowo, że mnie nie ma. Jak on się nazywał? Warańczyk? Marańczyk? Hm... Chyba Karańczyk i właśnie kara go spotkała, bo go zjadłem. Ale przyznaję, że do końca trzymał się scjencycznego paradygmatu i utrzymywał, że ja tak naprawdę nie istnieje.

Smok zawiesił głos, uważnie spojrzał na Darlana.

– Czy ty w ogóle rozumiesz te trudne wyrazy, którymi cię brifuję.

– Tak jakby... – Rycerz kiwnął głową.

– Pewnie bardziej „jakby” niż „tak” – mruknął smok, ale zaraz wrócił do opowieści. – Któregoś razu w moje łapy wpadła ta księga. Napisał ją pradawny mag zza morza, wielkiej ponoć mądrości człek. To on nazywał się Kotlet, a nie ja. Przeczytałem ją, a jakże, bo umiem i lubię czytać – smok zawiesił głos – w przeciwieństwie do większości przedstawicieli twojego fachu, droga przekąsko. I doznałem wglądu, czyli eureka. Po co się wysilać? Po co się narażać? Po co tracić energię? Zamiast polowania, latania i walki mogę całe życie przeleżeć na czubku wielkiej góry złota i czerpać dochody z inwestycji, a nie z podboju. I to stokroć większe. Zarządzanie i reketing to potęga!

Smok się rozkręcał, a im dłużej mówił, tym wyraźniej zmieniał się kolor jego oczu. Różowe ślepia zieleniały, a pionowa źrenica grubiała i wyginała się, przyjmując kształt podobny do litery S.

S jak smok zapewne, pomyślał Darlan. A więc i on jest zaczarowany! Ta księga to podręcznik reketingu i zarządzania. Opanowała umysł smoka, a następnie wszystkich ludzi, którzy przychodzą do szkoły. Żeby ich uwolnić, muszę ją zniszczyć.

A że u wędrownego rycerza, co w głowie, to i w nogach, Darlan powoli zaczął się przesuwac w stronę księgi.

– A jak ty tak naprawdę masz na imię? – spytał, próbując zagadać smoka.

– Eufrozy, po stryjecznym dziadku.

– A ten... tego... rodzinę masz? – Kroczek, następny kroczek.

– Nie, rodzina przeszkadza w karierze zawodowej.

– To może chociaż jakieś jajko? Znaczą... zniesione... przechowujesz? – Trzeba przejść obok wielkiej skrzyni ze złotem. Zauważy czy nie?

– Nie popieram rozmnażania in vitro. Jak już osiągnę odpowiedni pułap, wtedy zastanowię się nad ab ovo.

– Wiesz, wtedy może już być za późno. Zegar biologiczny tyka: tik-tak, tik-tak, itepe, itede, et cetera.

Darlan też postanowił pochwalić się znajomością języków obcych. Obcych i martwych – to skojarzenie ponownie przypomniało mu, że się boi. Ale księga była tuż-tuż. Eufrozy nie reagował, najwyraźniej zamyślił się nieco nad swoją przyszłością, ewentualnym ojcostwem i zegarową metaforą. Nawet na moment zamglili mu się oczy. Krótki, jak to z momentami bywa. Smok wzdrygnął się, splunął, warknął.

– Co ty mi tu o jajkach... – Zawiesił głos. – Ejże, przekąseczko, a co ty chcesz zrobić?!

Darlan nie miał zamiaru odpowiadać. Skoczył do przodu, kilkoma susami dopadł do księgi i mocnym pchnięciem wbił w nią miecz.

A potem się zaczęło.

Smok ryczał, zionął strugami ognia, walił łapami, próbując rozgnieść Darlana. Góra dygotała, przewalały się po niej wodospady monet, osuwały lawiny złotych przedmiotów, otwierały lśniące wiry-pułapki.

Przebita księga płakała. Wykrzykiwała coś o bankructwie, spadku kursów, hiperinflacji, deficycie, niskim grp, wysokich podatkach, złej koniunkturze i zwolnieniach grupowych – Darlan zrozumiał z tego tylko tyle, że powinien szykować się na niemałą apokalipsę. Księga umierała i traciła swą moc. Oczy smoka na powrót stały się różowe, zielona mgła wypełniająca jaskinię rzedła i znikła.

A Darlan? O, niełatwo rycerzowi w zbroi skakać jak pasikonik. Unikać ogniowej flegmy, smoczycich łapsk, osuwających się kosztowności (szczególnie niefajne są ciężkie, wysadzone diamentami berła spadające na głowę, mówię wam). Nasz bohater dzielnie sobie jednak dawał radę, tu kicnął, tam hopsnął, gdzieś się ślizgnął. Tymczasem księga jęknęła, skrzypnęła, zaszeleściła i dawaj wic się i podrygiwać, przesuwac ku czubkowi miecza. Darlan, zajęty ratowaniem życia, nie zwrócił na to uwagi. Pędził w dół, ku wyjściu z jaskini, cały czas baczac na srożącego się smoka. I nagle – hop, księga zsunęła się z ostrza i wykorzystując resztki zielonej energii, trzepocząc kartkami niczym tysiąckrzydły owad,

poszybowała ku Eufrozemu.

Miała pecha. Przypadkowa smuga smoczego ognia musnęła jej okładki, a był to płomień smoczy – złośliwy, przyczepny, głodny. Ostatnim dźwiękiem, jaki wydał z siebie magiczny podręcznik reketingu autorstwa Kotleta, było ciche „PSSSSYYYT!”.

Zielona mgła zniknęła ostatecznie.

Smok ryknął straszliwie. Wyzwolona z czaru jego prawdziwa natura, tłumiona tak długo, zażądała wypłaty za lata postu.

– Dziewic! Rycerzy! Owiec! – zadudnił smok, wygrzebując się ze złotego stosu, rozkładając skrzydła i przęcając grzbiet.

Ten hałas i ruch rozchwiały cały złoty stos. Na dno jaskini zaczęły walić się skalne okruchy o wielkości może niezbyt groźnej dla smoka, ale dla Darlana jak najbardziej śmiertelnej.

Rycerz już nie kombinował. Gnał w dół na złamanie karku, byle tylko wydostać się z pułapki. I udało mu się.

Przebiegł podziemny korytarz, przemknął przez szkołę, wypadł na podwórzec.

Za nim dygotała góra. Wokół panikowali zdziwieni ludzie. Oni też już wyzwolili się spod wpływu księgi. Biegali po dziedzińcu, przerażeni i półprzytomni, często się zderzając, pokrzykując na siebie i innych.

– Co ja tu robię?!

– Gdzie ja jestem?!

– Skąd wieje wiatr?!

– Trzęsienie ziemi! Na pomoc!

– Gdzie jest król? Niech żyje król!

– Trzeba budować! Trzeba siać! Trzeba orać!

– Uciekajmy! Uciekajmy stąd!

I uciekli. Przez otwartą na oścież bramę Wyższej Szkoły Reketingu i Zarządzania wypłynął tłum cieśli, szlachciców, szewców, pokojówek, ślusarzy, rolników, dam dworu i innych obywateli królestwa Fiordlandii. A gdy ten teren opuścił ostatni z nich – jak to zwykle w opowieściach bywa – do końca zawałyły się i wszystkie budynki, i otaczający je mur, i góra, przywalając swym ciężarem smoka Eufrozego i jego złoto.

Barwny i pyszny pochód jechał traktem – od Pałacu Zimowego do fiordlandzkiej stolicy. W otoczeniu rycerzy król Christian Adolf Karol Harald Tovenssonsvenon VI miał powrócić do swego zamku. Zamiast połatanego stroju nosił bogato zdobiony, gustowny kubrak, purpurowy płaszcz i może nieco zbyt bufiaste spodnie. Koronę podróżną miał przypiętą pod brodą paskiem, żeby nie spadła na wybojach. Wokół niego tłoczyło się wielu szlachciców, koniecznie chcących pokazać, że z minionym okresem błędów i wypaczeń w traktowaniu jego królewskiej wysokości nie mieli nic wspólnego.

Kiedy z bocznej ścieżki wyjechał na drogę rycerz na zielonym biegaczu, straż przyboczna zareagowała szybko i z wprawą. Króla osłonięto, ku intruzowi skierowały się naładowane kusze. Jednakże władca powstrzymał swoich rycerzy gestem dłoni. Kawalkada podjechała bliżej.

– Witam, mości Darlanie. Panowie – zwrócił się do swych rycerzy. – Oto ów przybysz dalekiego kraju, który pokonał smoka i ocalił naszą Fiordlandię. Wiwat na jego cześć!

– Wiwat! Wiwat! – huknęli przyboczni, a najgłośniejszy darł się Baniotryks Kant.

– Witaj, miłościwy królu. Dziękuję za podziękowanie. I poproszę o pieniądze!

Na te słowa rycerze zaszemrali, a Cepelion Kant krzyknął nawet:

– Jak śmiesz reketować władcę naszej krainy?! Czy masz aby na to stosowną licencję?

– Ależ oczywiście, że nie mam. I dlatego nie reketuję, tylko proszę o zwrot sumy, którą musiałem wydać na ten głupi kurs. Być może z małymi odsetkami.

Król uśmiechnął się. Odpiął od pasa sporą sakiewkę i podał Darlanowi. Ucisnęli sobie prawice.

– Widzę, że wszystko wraca do normy, panie.

– Tak, rycerzu, mam nadzieję, że moi dobrzy, ale niezbyt mądry poddani zrozumieli tę lekcję. Kraj potrzebuje rycerzy i cieśli, rybaków i poetów, nauczycieli i królów... No, powiedzmy, jednego króla. Niech będzie, nawet kilku reketierów. Ale jeśli wszyscy zaczynają studiować jedną naukę, wierzą w to samo i chcą zarabiać tak samo – no to wtedy czeka nas ruina. Gorsza niż działalność choćby i pięciu wypasionych smoków.

– Cóż, moda... Nie jesteście jedyni. – Darlan jeszcze raz zważył w dłoni otrzymaną sakiewkę.

– A propos szkół. Jesteś niezły w rachunkach, rycerzu. Wiesz, że mamy pod smoczą górą sporo

stezauryzowanego złota, czyli kapitału. Trzeba by się tym zająć, a ty już coś wiesz na ten temat: jaki tam jest bilansik, jaki parytet, czy aby gotówka nie jest płynna po podgrzaniu jej przez smoka. Może zechciałbyś założyć u nas wyższą szkołę, powiedzmy „Biznesu, finansów i kopactwa”? To może być ciekawy kierunek.

Darlan nie odpowiedział. Przypomniał sobie właśnie, że pewna miła wróżka przepowiedziała mu przygodę – sześć dni drogi i dwa królestwa dalej. I już go nie było.